Magiczny Kraków

Wieś niespokojna, wieś niewesoła

2020-03-20

W czwartek 19 grudnia 1895 r. „Czas”, dziennik poważny i adresowany do ludzi wykształconych, poinformował krakowian, że dwa dni wcześniej przed Sądem Karnym odbyła się rozprawa „przeciw 11 włościanom z Olszanicy, z powodu zabobonnego znęcania się nad zwłokami samobójcy”.

Michał Kozioł

Wieś Olszanica, dziś włączona do Krakowa, już od XIII w. należała do Panien Zwierzynieckich. W czasach Wolnego Miasta jej mieszkańcy zajmowali się, oprócz uprawy roli, wyplataniem półkoszków, czyli „plecionek z wikliny zakładanych na konny wóz gospodarski, stanowiących wysłanie jego ścian i dna”. Pod koniec XIX w. ich głównym źródłem dochodów było „dowożenie nabiału do Krakowa”. Jednak nie osełki masła, nie sery zawinięte w białe płócienka, nie jajka przyniesione na targ w koszykach wyścielanych sianem sprawiły, że w mieście zainteresowano się Olszanicą. Stało się tak za sprawą Tomasza G., poważnego gospodarza, który od dłuższego czasu – zdaniem sąsiadów – cierpiał na pomieszanie zmysłów. Ludzi nie krzywdził, awantur żadnych nie wywoływał, ale mówiono o nim we wsi, „że go cosik cięgiem namawia, aby se życie odebrał”. Niestety, namawianie to okazało się skuteczne i Tomasz G. powiesił się na pasku we własnej stodole.

W którym wieku żyje wieś?

O tym, co działo się później, możemy dowiedzieć się z ówczesnej krakowskiej prasy. Jej lektura skłania do przyznania racji Stefanii Ulanowskiej, jednej z pierwszych polskich niewiast zajmujących się profesjonalnie etnologią, która kilka lat wcześniej, bo w roku 1887, pisząc w piśmie etnograficznym „Wisła” o mieszkańcach podkrakowskich wsi, zadała pytanie: „Co się tyczy życia duchowego tych ludzi, to badania pod tym względem prowadzą do tak dziwnych odkryć, że mimowoli (!) trzeba sobie zadać pytanie, czy i oni także żyją w tym samym dziewiętnastym wieku, co my?”.

Otóż zaraz po wydarzeniu do stodoły zbiegli się sąsiedzi. Jeden z nich, Józef R., przeciął pasek oraz „spuścił powoli zwłoki samobójcy na ziemię i uderzył go kilka razy lewą ręką w twarz”. Panowało bowiem powszechnie przekonanie, że w ten sposób można przywrócić wisielca do życia. Kiedy zabiegi Józefa R. okazały się nieskuteczne, kolejną, taką samą próbę podjął inny z sąsiadów, Jan Cz. Jednak i jemu nie udało się ocucić zmarłego.

Nie powiodły się więc próby przywrócenia Tomasza G. do życia. Wiejska społeczność musiała nieodwołalnie przyjąć do wiadomości, że jeden z jej członków popełnił straszny, niewyobrażalny czyn, czyli samobójstwo. Sytuacja była więc absolutnie wyjątkowa. Zwołał zatem olszanicki wójt Tomasz W. – jeżeli wierzyć gazetom – wiejską naradę. Gospodarze wspólnie uznali, że zwłoki Tomasza G. nie mogą spocząć na cmentarzu, musi się więc nieboszczyka pochować w niepoświęconej ziemi. Wykopanie grobu na oddalonym od centrum wsi wzniesieniu zlecono Wojciechowi G.

Bezczeszczenie zwłok

Pogrzeb samobójcy, według niezbyt zgodnych prasowych relacji, odbył się 1 lub 2 lipca. Jednak aby przystąpić do pochówku, trzeba było najpierw „wyprowadzić” zwłoki ze stodoły. To właśnie sposób, w jaki czynność ta została dokonana, stał się jedną z podstaw do oskarżenia mieszkańców Olszanicy o „zabobonne znęcanie się nad zwłokami”. „Czas” tak opisywał owo wydarzenie: „Gdy nazajutrz zwłoki Tomasza G. miano pochować i gdy już zwłoki jego do trumny miały być włożone, wtedy Józef B. wykopał, rzekomo wskutek domagania się ze strony innych ludzi, dół pod progiem stodoły, poczem (!) ujął wraz z obwinionym Franciszkiem B. zwłoki G. za ręce pod pachę, przeciągnęli je obaj przez ów dół pod progiem, a następnie włożyli do trumny i to twarzą na dół, ulegając namowom obecnych”.

Pozostawało już tylko przewieźć zwłoki na miejsce pochówku. W tym momencie pojawił się nowy problem. Jak donosiła później krakowska prasa: „Przygotowane sanie (rzecz działa się w lecie, 2 lipca – przyp. M.K.) zawiozły zwłoki G. na górę do wykopanego grobu”. Użycie wozu jako środka transportu było w tym przypadku, zdaniem uczestników pogrzebu, niemożliwe. Stary zwyczaj nakazywał bowiem, żeby zwłoki samobójcy do grobu „zawlec”. Wiozącym trumnę saniom towarzyszyła cała wieś, a woźnicy nie tylko zakazano odzywać się, ale nawet spoglądać za siebie. Przy wykopanym grobie oczekiwali przedstawiciele miejscowej władzy, czyli wójt, podwójci oraz jeden z radnych.

Kiedy miano już przystąpić do pogrzebu, pojawił się nowy problem. Zaczęto się zastanawiać, czy zwłoki samobójcy należy pochować w trumnie, czy bez trumny. Któryś z uczestników smutnej ceremonii przypomniał, że gdy przed kilku laty w niedalekim Czernichowie pogrzebano samobójcę w trumnie, to jego rodzinna wieś przez dłuższy czas była ofiarą częstych pożarów. Obecni dali się przekonać, że dla wspólnego bezpieczeństwa lepiej zrezygnować z trumny. Wyjęto więc ciało i złożono je w grobie twarzą do ziemi. Pozostało jednak pytanie, co zrobić z trumną. Było kilka propozycji, m.in. pojawił się pomysł spalenia jej na miejscu. Ostatecznie zadecydowano, że pustą trumnę pogrzebie się razem z nieboszczykiem.

Brak skruchy

Jedna z ówczesnych krakowskich gazet napisała, że „z pogrzebu wracano z zadowoleniem i w przeświadczeniu, że zabezpieczono wdowę od nocnych strachów, a gminę od grożących nieszczęść”. Nie zabezpieczono jednak uczestników tej ceremonii przed c.k. prokuratorią, która oskarżyła mieszkańców Olszanicy o „zabobonne znęcanie się nad zwłokami samobójcy”. Oskarżyciel w swoim wystąpieniu podkreślał, że postępowanie podsądnych „okazuje dobitnie brak wszelkiego pietyzmu dla zmarłego i brak uszanowania spokoju, jaki zwłokom się należy”.

Jak donosiła krakowska prasa podsądni nie okazywali żadnej skruchy. W jednej z ówczesnych gazet czytamy: „Wielce charakterystycznym było zachowanie się włościan podczas rozprawy. Żaden z nich do winy się nie poczuwał i widać było, że nie rozumiał w czem (!) tkwił występek. Jeden z nich, Wojciech G., na słowa przewodniczącego, wskazujące ohydność w postępowaniu ze zwłokami G., odrzekł: Żeby mój ojciec rodzony powiesił się, to bym go już nie ratował”.

Sąd uwolnił pięciu spośród jedenastu podsądnych. Pozostałych, uznanych za winnych, potraktowano niezbyt surowo, skazując ich na niewielkie, kilkudniowe wyroki.

Dziennik „Głos Narodu” relację z procesu zakończył stwierdzeniem: „Rozprawa ta jest smutnym dowodem panujących u naszych włościan przesądów i zabobonów wynikających z ciemnoty. Wiele się mówi i pisze o postępie oświaty u ludu wiejskiego, szczególnie w Galicji zachodniej, o jego dojrzałości politycznej, a jedna taka sprawa sądowa wykazuje zbyt wyraźnie, że ten postęp, ta dojrzałość to jeszcze ułuda. Jeżeli podobne wypadki dzieją się tuż pod Krakowem, co sądzić należy o stanie oświaty naszych włościan z okolic odleglejszych od miasta? Oświaty więc rzetelnej i jeszcze raz oświaty!”.

* *na zdjęciu: przy ul. Grodzkiej 52 (obecnie Collegium Broscianum) w XIX w. mieścił się sąd*